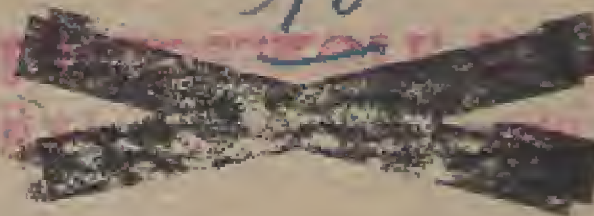
STANISŁAW ALEKSANDRZAK



ogrodowe ZUCHY

NASZA KSIĘGARNIA

10



115 3.7

STANISŁAW ALEKSANDRZAK

OGRODOWE ZUCHY



1947

NASZA KSIĘGARNIA
WARSZAWA

ILUSTROWAŁ KONSTANTY SOPOĆKO

WSZELKIE PRAWA
ZASTRZEŻONE

DRUK. INST. WYD. „NASZA KSIĘGARNIA"
WARSZAWA, SMULIKOWSKIEGO 4.
10.IV.1947 r. B-13150.

Słońce już zaszło. Na dworze było szaro, a jaskółki pod Wojciechową strzechą głośno świergotały.

— Polecimy w świat, polecimy w świat...

— Kiedy? — dopytywały się inne.

— Już niedługo, już niedługo...

— Boję się trochę — skarżyła się nieśmiało któraś. — Pierwszy raz polecę... To chyba daleka droga...

Czerwony Pomidorek w Wojciechowym ogrodzie słuchał z ciekawością zmowy jaskółek.

— Gdzie one lecą? — myślał... — Gdybym to ja mógł się wybrać z nimi. Ale jak, nie mam przecież skrzydeł.

W nocy nie mógł spać. Kręcił się na swej łodydze, aż budził sąsiadów. Śniło mu się, że razem z jaskółkami leci w daleki świat.



— Czego się wiercisz? — pytały go inne pomidory.

— Zimno mi — wyszeptał wstydliwie.

— To się nakryj listkiem...

Do rana nie zmrużył już oka.

Ledwo się rozwidniło, wychylił głowę i patrzył na drogę za płotem, którą przechodzili teraz ludzie z tobołami. Cały ogród spał smacznie. Wtem ujrzał Pomidorek dziurę w płocie. Była niewielka, ale wystarczyła, by przez nią przejść niepostrzeżenie. Bez namysłu zeskoczył z krzaka.



— Muszę zobaczyć świat — zdecydował.

— Gdzie idziesz? — zapytał go ktoś obok zagonu ogórków.

Przystanął i przestraszony spojrzał na zagon.

— Ktoś mnie zauważył...

Pękaty Ogórek przecierał zaspane oczy.

— Cicho... — wyszeptał Pomidorek. — Idę w świat. Nie mów o tym nikomu.

— Pójdę z tobą.

— Naprawdę?

— Tak. Już mi się sprzykrzyło nudne życie w ogrodzie.

— Chodźmy razem.

Przemknęli pomiędzy burakami, które jeszcze smacznie spały, i po chwili byli już na drodze.

— W którą stronę idziemy?

Poszli w lewo.

Wkrótce wieś się skończyła. Po obu stronach było puste pole.

Ogórek posmutniał. Obejrzał się parę razy...

— Co ci jest? Czy się boisz? — pyta Pomidorek.

— Nie... nie... — odpowiedział nieśmiało.

— Daj rękę, będzie nam raźniej.

Ujęli się mocno jak przystało na przyjaciół. Minęli jeden zakręt, drugi, a za czwartym musieli się zatrzymać.

Droga rozdzielała się w trzy strony.

W prawo, w lewo i na wprost.

— Którą iść?

— Chodźmy w lewo — mówi Pomidorek.

— Nie. Lepiej w prawo — prosi Ogórek.



— W lewo czy w prawo?... — głowią się dżiwni wędrowcy. — A może na wprost? Co robić?

— Musimy kogoś zapytać — radzi Pomidorek.

— Ale kogo? Jesteśmy wśród pustego pola.

Stanęli bezradnie i zaczęli się rozglądać.

— A dokąd to, obywatele? — odezwał się ktoś grubym głosem. Przestraszył się Pomidorek, struchlał Ogórek.

— Kto to?

Oglądają się w jedną stronę — nic, w drugą — nic...

— Cóż u licha? Nikogo nie widać? Czary?...

— Jestem mądry
drogowskaz...
Gdzie idziecie?
— pytam was.

Spojrzeli w górę.

— O!

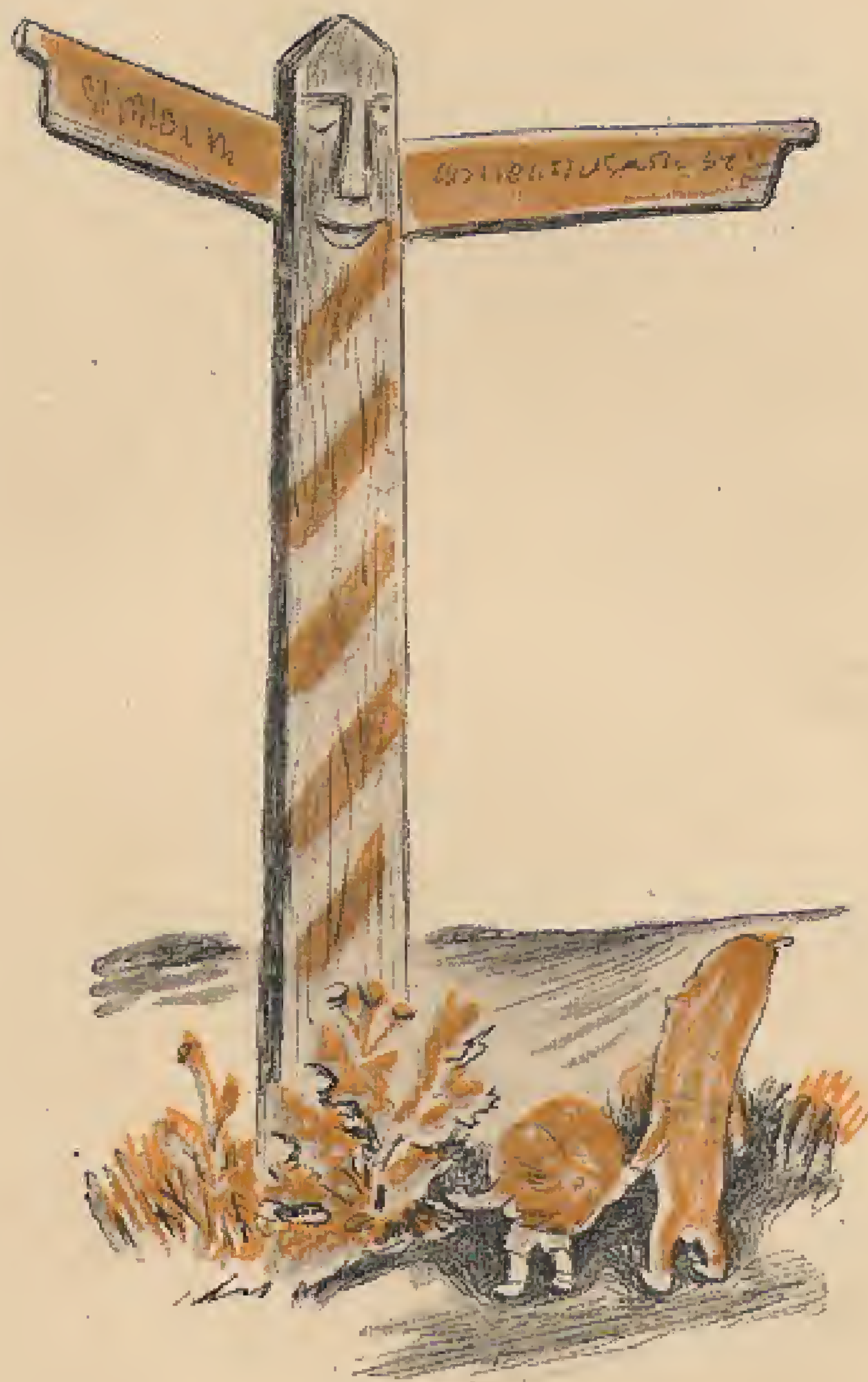
Przy drodze stał wysoki, drewniany drogowskaz. Malowane ramiona rozłożył szeroko i patrzył pytająco na naszych zuchów.

— Dokąd? — powtórzył łagodniej i przyjaźnie się uśmiechnął.

— My chcemy iść w świat — bąknął zawstydzony Pomidorek.

— Każda droga prowadzi w świat. Ale świat jest przecież wielki. Mówcie wyraźnie, dokąd chcecie iść? Pomogę wam, poradzę... Znam się na podróżach.

— My, my — przyznał się Pomido-



rek — uciekliśmy z ogrodu Wojciecha i chcieliśmy zwiedzić świat. Zobaczyć wielkie miasta i fabryki...

— Ach! tak — uśmiechnął się drogowskaz. — Daleka to droga dla waszych małych nóżek. Idźcie w lewo do stacji kolejowej. Tam wsiądziecie do pociągu i pojedziecie dalej.

— Dziękujemy ci, jakiś ty mądry i dobry.

— Nie macie za co dziękować, spełniam tylko swój obowiązek. Postawili mnie tu, bym wszystkim drogę pokazywał.

— A daleko jeszcze do stacji? — pyta już śmielej Pomidorek.

— Przeczytajcie sobie na moich ramionach.

Pomidorek nie mógł dojrzeć, gdyż napis był wysoko. Wdrapał się więc na słup i zaczął głośno czytać, by Ogórek mógł dobrze słyszeć.

— Do Wólki 8 kilometrów.

— Źle! — woła drogowskaz. — Czytaj na drugim ramieniu.

— Do stacji Błaszki 5 kilometrów.

— Dobrze. Tam pójdziecie.

— To niedaleko — ucieszył się Ogórek, który nie lubił chodzić.



W drogę! — Nie mamy czasu — zakomenderował Pomidorek.

Ruszyli naprzód.

Droga przecinała las... Niewielkie drzewa wydawały się naszym podróżnikom nieprzebytą puszczą. Ogarnął ich niepokój.

— Na pewno żyją tutaj dzikie zwierzęta — powiada Pomidorek, który słyszał kiedyś, jak Wojciechowa Basia czytała na głos w ogrodzie opowiadanie o lwach, tygrysach, słoniach i wilkach.

— Pewnie... Lepiej się wróćmy — radził Ogórek.

— Nie, może uda nam się spokojnie przejść. Spróbujemy...

Nie skończył mówić, gdy na środku wąskiej drogi ujrzeli jakieś zwierzę. Stanęło na tylnych łapach, uszy postawiło w górę i patrzyło przed siebie.

— Lew... — wyszeptał z przestrachem Pomidorek.

— Lew... — powtórzył Ogórek.

— Uciekajmy!...

— Dogoni nas z łatwością. Lepiej zejdźmy niepostrzeżenie do rowu.

Zsunęli się w trawę.

— Hiii... hii... hi... hii...

Zdziwiony Ogórek spojrzał na Pomidorka.

— Nie śmiej się, bo usłyszy i zginiemy.

— Ja się wcale nie śmieję, tylko chcę ci powiedzieć, że... hi... hii... hi... hiii...

— Zwariowałeś?

Ogórek rozgniewał się na przyjaciela.

— Hi... hi... hi... — krztusił się Pomidorek.

— Ciszej! — ofuknął go rozgniewany Ogórek.



— Hii... hiii... hii... hii... — hipopotam — skończył drżąc ze strachu Pomidorek.

— To czemuś od razu nie mówił?

— Nie mogłem wymówić, to taki trudny wyraz.

Wyjrzeli obaj z trawy. Groźny zwierz stał dalej spokojnie.

— Pewnie nas zauważył... Uciekajmy.

— Za nic w świecie, na pewno w lesie są dzikie zwierzęta.

— Co zrobimy?

Nagle zaszeleściło coś pomiędzy listkami drzew. Zwierz skulił uszy i uciekł w las.

Obaj podróżnicy odetchnęli z ulgą.

— Chodźmy teraz szybko, bo może jeszcze zawrócić.

Wyskoczyli na drogę.

Z drzewa sfrunął szary wróbel. Usiadł parę metrów przed nimi, przekrzywił głowę i patrzył zdziwiony.

— Pomidor i ogórek wędrują, to dziwne... — Bywał nieraz w ogrodach, więc znał się dobrze na warzywach. — Dokąd, dokąd? — zapytał mrużąc oko. Nie przestraszył ich tym pytaniem, gdyż znali się z widzenia z wróblami.

Opowiedzieli o wszystkim. Kiedy jednak zaczęli mówić o niedawnej przygodzie z nieznanym zwierzęciem, wróbel parsknął śmiechem.

— Chaa! ćwirr, chaaa... ćwir, ćwirr... Przecież to był zając. Widziałem go dobrze z drzewa.



— Na pewno? — spytali z niedowierzaniem.

— Naturalnie.

Zawstydzili się obaj, pożegnali wróbla i ruszyli naprzód.

Za lasem była łąka, przez którą jasną wstęgą przepływała rzeka.

— Jak przejdziemy na drugą stronę? — martwił się Pomidorek.

— Przez most.

— A jak mostu nie będzie?

— Przepłyniemy...

— Co? ja nie umiem pływać, nie chcę utonąć... Wracam do ogrodu. Już mi obrzydła taka podróż. Nogi mnie bolą...

— Poczekaj trochę, już niedaleko do stacji. Dalej pojedziemy koleją...

Na szczęście most był cały, więc przeszli bez trudności. Za zakrętem ujrzeli kilka czerwonych budynków.

— To chyba stacja...

— Zaraz zobaczymy. — Przyspieszyli kroku. Pomidorek zaczerwienił się jeszcze bardziej ze zmęczenia.

— Stacja! — ucieszyli się obaj. Na dużej tablicy było wyraźnie napisane:

BŁASZKI

Weszli do środka budynku. Nikt ich nie zauważył. W wielkiej sali pełno było ludzi. Mieli duże walizki, kosze i paczki. Podchodzili do małego okienka i do kogoś niewidocznego mówili:

— Proszę o bilet do Warszawy.

— Do Łodzi...

— Do Gdyni...

Płacili i otrzymywali bilety. Każdy był zajęty sobą i nie zwracał uwagi na ogrodowych zuchów. Stanęli pod dużą ławą.

— Jak my pojedziemy? Nie mamy przecież pieniędzy.

— Szkoda — westchnął Ogórek. — Spróbujemy bez biletów...

— Nie chcę, to bardzo brzydko.

— To poprosimy, może nas bez biletów przewiozą.

— Proś ty — mówi Ogórek.

— Lepiej ty...

— Nie, idź ty...



— Chodźmy razem...

— Patrz, patrz! — szepcze zdenerwowany Ogórek i chwyta mocno Pomidorka za rękę.

— Co takiego?

— Tam w koszyku jest pełno pomidorów. Widzisz?

— Widzę.

— Gdzie one jadą?

— Nie wiem... Chodźmy do nich, zapytamy.

Nagle jakiś mały chłopiec pokazał palcem na naszego Pomidorka, który za bardzo wychylił się spod ławy — i wołał do kobiety stojącej przy koszu.

— Proszę pani, proszę pani — pomidor wypadł pani z koszyka. Tam leży...

— Zobaczyli nas! — jęknął przestraszony Pomidorek.

Już nie było czasu się schować. Ktoś go chwycił mocno za grzbiet; podniósł wysoko i wrzucił do koszyka. Ogórek zdążył się cofnąć w ciemny kąt i pozostał.

— Patrzcie, jakiś nowy — dziwowały się pomidory w koszyku. — Skąd się tu wziąłeś?

Opowiedział im swoją historię.



— Pojedziesz z nami do miasta. Gospodyni wiezie nas do swojej córki, która pracuje w fabryce nici. Zobaczymy kawał świata, bo do Łodzi podobno daleko.

Pomidorek chciał ich prosić, by zawołali Ogórka, lecz nie zdążył, gdyż nagle zaszumiało w poczekalni.

— Pociąg do Łodzi!... — zawołał ktoś donośnie.

Wszyscy w pośpiechu wychodzili na peron. Gospodyni chwyciła koszyk z po-

midorami i również wyszła przed budynek.

Po chwili z szumem i łoskotem wpadła lokomotywa ciągnąc za sobą długi szereg wagonów.

— Pach! pach! pach! — dyszała...

— Pewnie się zmęczyła — pomyślał Pomidorek, gdy pociąg stanął.

Gospodyni podniosła kosz i z wielkim trudem wepchnęła się do wagonu. Pełno tu było ludzi i paczek.

Kosz z pomidorami postawiono na innych paczkach przy drzwiach.

Lokomotywa zaczęła ciężko dyszeć. Pociąg ruszył zwolna naprzód.

Nabierał rozpędu. Koła stukały o szyny.

— Tak, tak, tak... tak...

Przez szybę patrzył Pomidorek na drzewa i słupy telefoniczne, które uciekały mu coraz szybciej.

Nagle jakiś pan w granatowej czapce stanął na stopniach wagonu przy drzwiach. Chwycił klamkę.

Szarpnął mocno i drzwi się otworzyły.

Kosz z pomidorami, który był o nie



oparty, przechylił się i byłby na pewno upadł, gdyby kolejarz go nie złapał.

Naszemu Pomidorkowi zawirowało wszystko w oczach i zaszumiało w uszach. Poczuł, że leci w dół. Nawet nie zdążył krzyknąć ze strachu.

— Jeden pomidor wypadł pani z koszyka — mówił któryś z pasażerów.

— Całe szczęście, że jeden. Mogło być gorzej...

Ale Pomidorek tego nie słyszał.

— Już koniec — pomyślał i zrobiło mu się żal ogrodu, Ogórka i tej całej nieudanej wyprawy. Zamknął oczy, żeby nic nie widzieć.

Nagle poczuł, że upadł na coś twardego.

Wyżej z szumem i hukiem przelatywały wagony. Ale hałas powoli się oddalał.

Otworzył oczy i rozejrzał się dokoła.

— Gdzie jestem?...

Leżał na piasku niedaleko szyn kolejowych. Niżej rozciągała się szeroka łąka porośnięta krzakami.

Podniósł się ociężale. Nic go wprawdzie nie bolało, jednak oglądał się dokładnie, czy nie odniósł jakiejś rany. Na szczęście miał tylko lekko stłuczony bok.

— Przy szynach niebezpiecznie przebywać — pomyślał — muszę zejść niżej, gdyż może drugi pociąg przejeżdżać.

W tym miejscu zejście było bardzo niewygodne.

— Pójdę dalej...

Wysoko nad głową przeleciały dwa duże, czarne ptaki.



— Kra, kra, kra — zakrakały i zatoczyły nad Pomidorkiem koło.

— Zobaczyły mnie...

Usiadły obok i jeden z nich wielkim dziobem zamierzył się na niego.

Odskoczył szybko w bok i uniknął uderzenia, lecz drugi już szykował się do nowego ciosu.



Bez namysłu skoczył Pomidorek w dół i zaczął szybko toczyć się po trawie w stronę łąki. Niebo i trawa migały mu w oczach. Nabierał coraz większego rozpędu i po chwili już nic nie widział.

Zatrzymał się dopiero w gęstym krzaku na łące. Spojrzał w górę. Oba ptaki złowrogo krążyły nad nim.

— Co robić?

Ostrożnie wcisnął się w sam środek gęstwiny. Był uratowany. Odetchnął z ulgą i spoglądał w górę.

Wrony kołowały jeszcze chwilę, lecz widząc, że są bezradne, poleciały dalej.

— Co tu począć? — zastanawiał się Pomidorek.

A tymczasem słońce pochyliło się już ku zachodowi. Rzucało jaskrawe blaski na ziemię.



Szedł wieczór.

— Zanocuję tutaj — postanowił, lecz gdy pomyślał, że sam jeden ma zostać wśród nocy, zrobiło mu się nieprzyjemnie. — Lepiej pójdę... Ale dokąd, już przecież ciemnieje...

Wychylił się ostrożnie spod krzaka i wyszedł na drogę, która przecinała łąkę. Z prawej strony zieleniła się kępa wysokich drzew.

— To chyba stacja, z której wyjechałem — myślał. — Wrócę się, może tam zastanę jeszcze Ogórka. Razem prędzej coś poradzimy.

Ledwo zrobił parę kroków, zawrócił szybko, gdyż wrony przelatywały gromadami do gniazd. Po ostatniej przygodzie nie miał do nich zaufania.

Tymczasem zapadał gęsty mrok. Pomidorek postanowił nocować pod krzakiem.

— Mógłbym zabłądzić w ciemnościach. Rano wyruszę na poszukiwanie Ogórka.

Przykucnął w trawie i próbował usnąć. Ale sen jak na złość nie przychodził.



Zdawało mu się, że ktoś przechodzi obok. Nic jednak nie widział. Noc była ciemna. Zaczął żałować całej wyprawy.

— Czy nie lepiej było siedzieć spokojnie w ogrodzie? — myślał z żalem.

Nagle wśród ciemności usłyszał płacz.

— Co to?

Po chwili płacz ucichł i tylko słychać było szelest trawy. Ktoś nadchodził.

— Już jest niedaleko... Uciekać, czy zostać dłużej?

Ale po chwili wszystko ucichło.

— To chyba wiatr — pocieszał się Pomidorek, lecz nie mógł zasnąć. Dopiero nad ranem zdrzemnął się trochę.

Zbudził go gwizd pędzącej lokomotywy. Zerwał się i wyskoczył spod krzaka.

— Już widno! — ucieszył się przecierając oczy. Słońce niedawno wstało. Mimo późnej jesieni ranek był ciepły.

Przeciągnął się Pomidorek, rozejrzał dookoła i wolno zaczął obchodzić krzak.

— Kto się tu skradał nocą? — myślał zaciekawiony i niespokojny.

— Może jakieś zwierzę?...

Nikogo jednak nie znalazł. Już miał odejść w stronę stacji, by szukać Ogórka, gdy ujrzał kępę wysokiej trawy obok krzaka.

— Zobaczę tam — postanowił.

Podszedł ostrożnie.

Rozsunął trawę i podskoczył z radości.

— Oooo! — krzyknął na cały głos.

W trawie spał smacznie towarzysz jego wyprawy, gruby Ogórek.



— Wstawaj, śpiochu! — wołał i szarpał go z całej siły. — Wstawaj!

Ogórek niechętnie otworzył oczy, lecz ujrzawszy Pomidorka zerwał się na równe nogi.

— Ach!... Skąd się tu wziąłeś? Myślałem, że już jesteś w Łodzi.

Ucałowali się serdecznie.

Pomidorek opowiedział mu swoją przygodę w pociągu.

— Całe szczęście, że tak się wszystko skończyło. Ja — ciągnął Ogórek — cze-

kałem pod ławką do wieczora. O zmroku wymknąłem się i ruszyłem drogą wzdłuż toru. Noc mnie tu zastała, więc postanowiłem przenocować w krzaku.

— I dlatego się spotkaliśmy.

— Tak.

— Co robimy dalej?

— Też pytanie, wracamy do ogrodu — zdecydował Pomidorek.

— Zgoda.

Ruszyli żwawo wzdłuż toru kolejowego.

— Ta sama droga, którą wędrowaliśmy wczoraj — ucieszył się Pomidorek.

— Aha! — odpowiedział krótko Ogórek... i zaczął się naprzód martwić, jak wejdą do ogrodu.

Szli obaj w milczeniu.

Niebo pokrywało się czarnymi chmurami.

— Będzie deszcz, musimy się spieszyć.

— Nie mogę, nogi mnie bolą — skarżył się Ogórek. — Odpocznijmy trochę...

— Dobrze, ale dopiero w lesie.

Przyśpieszyli kroku, gdyż padły pierwsze krople.

Na szczęście las był niedaleko. Weszli śmiało pomiędzy drzewa. Po wczorajszej rozmowie z wróblem nie obawiali się już dzikich zwierząt. Usiedli pod jakimś krzakiem.

Krople deszczu kapały na liście.

— Kap... kap... kap...

Jesienne deszcze przeważnie dłużej trwają. Nie zanosiło się na pogodę.

— Co będziemy robić, jeśli deszcz będzie cały dzień padał? — martwił się Ogórek. — Nocować nie myślę w lesie.

— Ja też... — przytaknął mu Pomidorek przypominając sobie noc pod krzakiem na łące. — Poczekamy jeszcze, na pewno się wypogodzi.

I znowu czekali.

Znudziło im się już trochę, więc Pomidorek wyszedł spod krzaka. Obejrzał się we wszystkie strony. W lesie było cicho i pusto. Zrobił jeszcze parę kroków naprzód i znowu przystanął. Zawołał Ogórka.

— Chodź szybko, coś ci pokażę...

Zerwał się Ogórek.

— Co takiego?

— Patrz!...

Przed nimi rosły dwa piękne, rozłożyste grzyby. Na jednym z nich siedział okazały ślimak i nie zważając na nic łakomie zajadał.

Ani Pomidorek, ani Ogórek nie widzieli nigdy grzybów i ślimaka.

— Co to być może?

— Pewno leśna kapusta — orzekł po chwili Pomidorek.

— Co znowu za kapusta? — oburzył się ślimak. — Nie znacie grzybów? — zdziwił się i podniósł głowę, a ujrzawszy naszych zuchów zdziwił się jeszcze bardziej.

— A wy co za jedni? Nie znam was.

Mimo oburzenia, z jakim wypowiedział te słowa, nie wydawał się złym ani Pomidorkowi, ani Ogórkowi.

Skłonili się więc obaj i przedstawili grzecznie.

— Pomidorek jestem...

— Ogórek...

— A ja Ślimak z rodziny Ślimaczyńskich... Nigdy o was nie słyszałem.



— Bo my nie mieszkamy w lesie, jeno w ogrodzie.

— A co tu robicie?

— Wracamy do ogrodu i schowaliśmy się przed deszczem.

— Długo będziecie czekać, gdyż nieprędko się rozpogodzi. Znam się trochę na pogodzie...

— Jak my pójdziemy? — niepokoił się Ogórek...

— Poczekajcie, pomyślę chwilę i może coś wam poradzę...

Ślimaki nie tylko wolno chodzą, ale i wolno myślą. Myślał długo, myślał Ślimak Ślimaczyński, wreszcie tak powiada;

— Wyszukajcie dwa grzyby z dużymi kapeluszami. Wyrwijcie je, weźcie na ramiona, a będą wam służyły za parasole.

— Co? taki ciężar nosić — przestraszył się Pomidorek.

— Widzicie, jaki wygodny. Ślimaki noszą całe domki na grzbiecie i nie boją się ciężaru...

— Zdaje mi się, że to dobry pomysł — wtrącił się Ogórek — nie mamy innego wyjścia.

Pożegnali się ze ślimakiem, podziękowali za dobrą radę i poszli szukać grzybów z rozłożystymi kapeluszami.

Znaleźli je i wkrótce wędrowali drogą pod ochroną grzybowych parasoli.

— Mądry był ten Ślimak Ślimaczyński — cieszył się Pomidorek widząc, że deszcz ich nie może zmoczyć.

— Tak, tak — przytaknął bez przekonania Ogórek, gdyż jego grzyb ciążył mu coraz bardziej...



Nagle spadła mu kropla na twarz... Potem druga, trzecia... Podniósł głowę i z przerażeniem ujrzał, że w kapeluszu jego grzyba jest dziura.

— Stój! — woła do Pomidorka, który wyprzedził go nieco — stój...

Zeszli razem do lasu, by zbadać parasole.

Na grzybie, który służył Ogórkowi za parasol, siedział sobie najspokojniej jakiś inny ślimak i zajadał kapelusz. Wygryzł już dziurę podczas drogi...

— Wiem teraz, dlaczego mój parasol był taki ciężki.

Na szczęście niebo się wypogodziło, deszcz przestał padać. Pozostawili w lesie oba parasole i ruszyli naprzód.

Za mostem, w miejscu gdzie drogi się rozchodziły w trzy strony, zaczepił ich uważny drogowskaz. Poznał obu z daleka i przyjaźnie wołał:

— Już wracacie?...

— Widzisz... — mruknął wstydliwie Pomidorek.

— Obywatele mają kwaśne miny... Pewnie jakaś niemiła przygoda was spotkała.

— Nie...

— Mówcie śmiało... Nie macie się czego wstydzić. Stary jestem, wiele lat tu stoję i dużo rzeczy przeróżnych widziałem.

Zaczęli opowiadać.

Drogowskaz śmiał się głośno i zacierał długie ramiona.



— Cha! chaaaaa! Dokąd teraz idziecie?

— Do Wojciechowego ogrodu.

— Do widzenia... — odpowiedział już zupełnie poważnie drogowskaz, gdyż z drugiej strony jakiś wóz nadjeżdżał.

Z daleka poznali chatę Wojciecha. Przyspieszyli kroku. Już prawie biegli na swych krótkich nóżkach. Zziajani

i zmęczeni dopadli płotu i przystanęli chwilę.

W rogu jest dziura, którą wydostaliśmy się z ogrodu — mówił Pomidorek. — Tą samą drogą przedostaniemy się teraz. Chodźmy...

Ale na nieszczęście dziurę ktoś załatał. Stanęli bezradnie, nie widząc co robić.

— Jak wejdziemy?

— Nie wiem... Chyba przez płot.

— Za wysoko...

— Spróbujemy.

Pierwszy wdrapał się Pomidorek. Za nim wciągał się powoli Ogórek. Sapał jak lokomotywa i co chwila powtarzał;

— Nie dam rady, nie dam rady...

— Już niedaleko. Jeszcze kawałek — zachęcał go ze słupka Pomidorek.

— Podaj mi rękę...

Pomidorek nachylił się, chwycił go mocno i wciągnął na poprzeczną belkę przy płocie.

Tymczasem słoneczniki zauważyły już ruch na płocie. Zaczęły się kiwać na swych grubych łodygach.



— Też, złodziejskie zwyczaje przez płoty przełazić — skrzywił się jeden.

— Łobuzy — dodał drugi.

Pomidorek zaczerwienił się jeszcze bardziej, lecz nic nie odrzekł.

— Skąd wracacie? — pytały ciekawe buraki, które ujrzały ich na płocie.

— Ze stacji kolejowej.

— Skąd? — zdziwiła się łysa kapusta.

— Mówimy wyraźnie, ze stacji... Chcieliśmy jechać w świat.

— A to ciekawe — pisnęła marchewka i poprawiła warkoczyk. — Opowiedzcie nam, coście widzieli.

— Zaraz, musimy wpierw zejść z płotu. — Zsunęli się zwinnie. Przykucnęli pod krzakami i zaczęli opowiadać o swojej wyprawie.

Wszyscy słuchali zaciekawieni. Nawet słoneczniki patrzyły teraz na Pomidorka i Ogórka z szacunkiem. Taki kawał drogi sami przebyli...

— Mój dzielny kuzynie — szepnęła gruba bania i ucałowała Ogórka.

— Dumna jestem z ciebie — mówiła do Pomidorka ciocia Kapusta i z radości łzy jej płynęły po liściach.

— Prawdziwe Zuchy Ogrodowe — odezwały się zgodnie wszystkie warzywa.

KONIEC


NK